

Był wczesny poranek na księżycu Geradii, słońce niedawno wyjawilo się znad czerwono-srebrnych gór. Lilia i Marshall Powoli szli poprzez Błękitny Las szukając zwierzyny do upolowania. Lilia ujrzała w oddali dorosłego vultesa przechodzącego między drzewami, nieświadomego obecności dwójki przyjaciół. Vultesy były bliskie ziemskim lisom o których dziadek kiedyś opowiadał Lili, jednak zamiast futra ich ciała pokrywały niebieskie i szare kryształy, tworzące pasiasty wzór pozwalający im zakamuflować się w ich środowisku. Kryształy stanowiły też ochronę, wystarczającą by obronić przed ugryzieniem drapieżnika, kruche jednak wobec siły pocisku z broni palnej.

Lilia wycelowwała ze swego karabinu dźwigniowego, zanim zdążyła pociągnąć za spust zwierzę pobiegło między drzewami znikając z ich wzroku.

- Chodź! Musimy go dogonić. – powiedziała Lilia zbierając się do wymarszu.

- Nie wiem czy powinniśmy tam iść, on kieruje się na północny wschód, tam jest Mroczny las, prawda? - spytał z niepokojem Marshall.

- A cóż takiego strasznego może się tam kryć?

- Demoradiony?

- To one istnieją?

- Nie wiem ale czy na pewno chcesz to sprawdzać?

- Może po prostu podejźmy do jego granicy i jeśli vultesa tam nie będzie to zawrócimy, dobrze?

- Mam nadzieję, że nie skończy się to źle... idźmy.

Przyjaciele wyruszyli w ślady swego celu, nie minęło wiele czasu nim poczuli zmianę. Dźwięki zwierząt zaczęły być coraz cichsze, powietrze stało się suche, mieli wrażenie, że nawet niebo jest ciemniejsze. W końcu zatrzymali się, granica była bardziej widoczna niż się tego spodziewali, ziemia niemal równo rozdzielona, z jednej strony niebieskozielona gleba i trawa Błękitnego Lasu a zaraz obok zetknięta z nim czerń i ledwie zauważalny, ciemny fiolet martwo wyglądającej ziemi Mrocznego Lasu. Drzewa były tak czarne, że przypominały ich cienie, a niebo wyglądało jakby nastala noc. Jedyne co spoza niego było ledwo widoczne, to pola uprawne kilkaset metrów na północny zachód od nich, ale nawet światło zza lasu było fioletowe, zniekształcone. Nie umieli wyjaśnić jak to właściwie się działo, ale po chwili stanęli poza granicami znanego ich terenu, nastala kompletna cisza, żadnych kroków, trzasków, śpiewu ptaków czy nawet wiatru. Byli tam, jakby wokół nie otaczało ich żadne życie, jakby czas się zatrzymał, mieli przed sobą tylko mrok tajemniczej natury której nie potrafili zrozumieć, której nie potrafili się oprzeć, szli dalej.

- Chyba jednak powinniśmy wracać, to miejsce nie wydaje się przyjazne - Zaczęła po chwili Lilia.

- Zgadzam się, zdecydowanie za długo tu jesteśmy, zawracajmy – odpowiedział Marshall nim oboje stanęli w bezruchu słysząc nieopisywalny dla ludzkiego ucha ryk. Nigdy czegoś takiego nie słyszeli, to dźwięk który nie przypominał żadnego który można sobie wyobrazić, wydawało im się, że dobiega z każdej strony naraz, w miejscu, w którym nie było słycać niczego innego. Po odwróceniu wzroku ujrzeni coś na co żadna nauka polowań nie była ich wstanie przygotować.

Z mroku lasu wyjawila się świetlista istota, wysokości trzech lub czterech metrów, poruszająca się na czterech ostro zakończonych, jak u modliszki kończynach, jednak ciałem niepodobnym do żadnego zwierzęcia. Stwór był biały, jednak jego kontury z każdej perspektywy otaczające jego ciało były fioletowe, poruszały się niczym fale zaznaczając jego

kszałty. Z pleców, długiego ogona jak i przegubów kończyn wyrastały falujące, skierowane w tył ciała macki, wyglądające tak jak reszta istoty, u której trudno było wzrokiem oddzielić konkretne elementy, był jak świecąca figurka, bez widocznych szczegółów. Jedyne co się wyróżniało to jego oczy, duże, czerwone i wypełnione żółtymi, okrągłymi plamami, zakrywające większość czerwieni.

Stwór otworzył paszczę z która ujawniła ostre kły i kilka falujących języków. Bestia zaczęła biec w ich stronę, kierując się w stronę Lili. Lilia podniosła karabin, wycelowała, jednak naciśnięcie spustu nic nie dało, broń nie wystrzeliła. Stwór był już blisko. Wtedy Marshall skoczył by odepchnąć sparaliżowaną Lilię z linii biegu bestii. Oboje padli na ziemię, istota przebiegła i zahamowała niedaleko nich, Marshall krzyknął z bólu, nie myśląc nawet co go spowodowało. Przyjaciele spostrzegli promienie idące z oddali, uderzały one atakujące ich stworzenie, które pod ostrzałem uciekło w głąb lasu, nie ukryło się za drzewami, po chwili ucieczki po prostu rozplynęło się w powietrzu. Z kierunku strzałów przybiegł Jack, ojciec Lili, chowając swoje rewolwery energetyczne do kabur.

- Lilia, Marshall! – krzyknął zmartwiony. – nie powinno was tu być! Czy wy w ogóle wie... - przerwał widząc zakrwawioną nogę Marshalla, a raczej to co z niej zostało. Ślady krwi prowadziły w kierunku ucieczki bestii która ją odgryzła.

- Tato... my... - próbowała wydusić z siebie Lilia.

- Nie ma teraz czasu na tłumaczenia, musimy go opatrzyć i to bardzo szybko, traci krew. – Jack wyciągnął z torby bandaż i zacisk by ograniczyć krwawienie. Wraz z Lilią podnieśli przyjaciela i ruszyli w stronę osady.

Minęło kilka godzin, Lilia wróciła do domu po towarzyszeniu Marshallowi podczas leczenia, dzięki technologii zachowanej ze statku będzie w stanie za niedługo chodzić z protezą. Mary, matka Lili siadła przy niej i zaczęła myć jej rany i zadrapania. Mówiąc pod nosem, że nie ta nie powinna już chodzić sama na polowania w takim wieku, w końcu wciąż była ledwie nastolatką.

- Mielicie szczęście, Demoradiony rzadko pozostawiają choćby ślad po ofierze – powiedział Jack.

- Czym one właściwie są? I czemu, gdy wracaliśmy było już tak ciemno? Byliśmy tam kilka minut... - odpowiedziała wciąż zamyślona Lilia.

- Kilka minut? Nie było was parę godzin! – wtrąciła Mary.

- Mroczny Las nie jest zwyczajnym miejscem, czas płynie tam inaczej, nie wiemy co jeszcze się tam kryje i czym są istoty które tam żyją. – zaczął odpowiadać Jack

- Karabin nie odpalił, ale sprawdziłam go, wszystko z nim w porządku, nawet rozmontowałam nabój, który był wtedy w komorze, nic dziwnego nie zauważyłam. – kontynuowała Lilia.

- Nie wiadomo czemu, ale w Mrocznym Lesie nie da się rozpalić ognia, w żaden sposób, żadna iskra, żaden płomień tam nie powstanie, dlatego jest tam szczególnie niebezpiecznie.

- A twoja broń?

- Zbudowałem je - mówił wyciągając rewolwery z kabur - z części znalezionych na starym statku. To nie zwykły rewolwer, wykorzystuje energię kryształów, które były w skrzyniach. Kryształ rozbija się, a energia skupia w lufie. Kryształów nie jest wiele. więc niemal nigdy ich nie używam.

- Wiele rzeczy które mamy, pochodzą z jakiegoś starego statku, czemu już go tu nie ma?
- Odleciał bez naszej ingerencji, rok po wylądowaniu – powiedział William schodząc powoli po schodach.
- Dziadek! – powiedziała głośno Lilia – jak właściwie to się stało, że kiedyś ludzie nie żyli tutaj? Jak ten statek nas tu przywiózł?
- Cóż, byłem mniej więcej w twoim wieku, gdy opuściliśmy ziemię i nie była to planowana podróż...

Arizona, rok 1876.

Tamtego dnia, w wiosce plemienia Mohave pojawił się ich stary wróg. Nie był to jednak człowiek ani zwierzę. Był to przeciwnik z niebios, którego widoku nie pamiętają już mieszkańcy, ale którego znają z opowieści.

W osadzie niedaleko rzeki Kolorado było wtedy spokojnie, dzień niczym nie różniący się od poprzednich, jednak nie trwało to długo, gdy do wioski wbiegł członek plemienia krzycząc, że powróciła siostra Wielkiego Ducha i nie są w stanie jej powstrzymać. Szeryf nie wziął jego słów na poważnie, nie wierzył w ich legendy.

Cóż, lud Mohave wierzył, że rzeka Kolorado powstała kiedy Wielki Duch Matavilya został zabity przez swoją siostrę. Ich młodszy brat Mastamho uznał, że zaopiekuje się ludźmi których starszy brat stworzył przed śmiercią. Wbił w ziemię wierzbową wtkę spod której zaczęła płynąć woda tworząc rzekę. Nauczył też ludzi wszystkiego co potrzebne by przetrwać.

Młody wojownik nie przestawał, szeryf uznał, że wyśle jednego ze swoich pracowników by sprawdził o co mu chodzi. Pojechali na koniach, mijaly minuty, potem godziny. Żaden z dwójki nie powrócił. Gdy tylko szeryf szykował się na poszukiwania zobaczył wielki czarny obiekt zbliżający się do wioski, potem zaczął słyszeć wycie które było mu obce. Wycofał się, nie minęła krótka chwila, a przed wioską lewitowało coś czego żaden człowiek stamtąd nie widział. Czarny kawał metalu unoszący się w powietrzu z rurami niczym lufy i szybą skierowanymi w stronę wioski, po chwili opadł na ziemię i otworzyły się drzwi stykające się z podłożem. Z nich wyszły wysokie istoty z czymś co przypominało broń w rękach. Miały kombinezony ze szklanymi wizjerami. Po chwili obserwacji terenu zaczęły niszczyć osadę i zabijać ludzi. Szeryf i wszyscy uzbrojeni mieszkańcy zaczęli strzelać w obcych napastników, ale bez skutku, kule odbijały się od istot zostawiając ledwie rysy na ich pancerzach. Byłem wtedy schowany niedaleko ich statku, za nimi. Widząc masakrę musiałem coś zrobić. W ukryciu udało mi się wejść do pojazdu. Jego wnętrze było niesamowite, czarne ściany lecz wiele światła. Na środku zobaczyłem schody i nimi wszedłem do pomieszczenia z szybą skierowaną na osadę. Pod szybą był pulpit, na nim wiele świecących znaków, których nie rozumiałem. Dotknąłem szklanej płyty na której były przyciski i napisy. Nagle, wszystkie słowa zmieniły się na znany mi język, tak jakby pojazd wiedział, kto w nim jest i jak z nim rozmawiać. Statek przemówił ludzkim głosem, nie wiedziałem co robić, nie spotkałem się z czymś takim, krzyknąłem więc by strzelał do atakujących wioskę. Pojazd wykonał polecenie. Z luf wyleciały czerwone promienie, a po obcych zostały resztki spalonych zwłok. Po zobaczeniu eksplozji zszedłem na dół, by zobaczyć mieszkańców wiwatujących i jednocześnie przerażonych. Gdy pył opadł większość mieszkańców zaczęła ostrożnie obserwować obcy pojazd, weszli do środka, sprawdzając czym on właściwie jest. Ujrzałem szybkę za którą było coś, co przypominało świetlistą mapę, a na niej okręgi, wokół jednego z napisem „Geradia” krążył inny, mniejszy, bez nazwy, otworzyłem szybkę i dotknąłem go a wtedy statek poinformował o natychmiastowym odlocie awaryjnym, nikt nie wiedział co się dzieje, wszystko zaczęło drżeć i siedzący w centrum

ludzie zauważyli, że statek się unosi, po chwili wszyscy ujrzeli niebo, potem wzlecieliśmy ponad chmury, widząc gwiazdy wszyscy byli wpatrzeni w wizjer gdy widok gwiazd rozmył się tworząc świetlisty tunel, był to nieznan, piękny widok.

Wylądowaliśmy na obcym świecie, nie wiedząc jak wrócić, nikt nie chciał ryzykować klikania kolejnych guzików... Cóż zwiedzaliśmy więc wewnątrz i zbieraliśmy co wydawało się wartościowe- maszyny, minerały, złom z obcych materiałów. Po jakimś czasie uznaliśmy, że trzeba stworzyć jakieś miejsce do życia, odkryliśmy lasy, pola na których rosty jadalne rośliny. To miejsce jest bardzo podobne do naszego dawnego domu, a jednak wszystko jest nieco inne, dlatego całkiem łatwo było nam się tu odnaleźć mimo wciąż wielu nieodkrytych przez te dziesiątki lat tajemnic. Jak mówiłem, statek po roku odleciał, a my budowaliśmy osadę w której dziś żyjemy.

- Jeśli już skończyliście opowiadać, to kolacja stygnie! A przez tą suszę nie wiem ile jeszcze takich sytych dań będzie można zrobić – krzyknęła Mary.

- Już idziemy! – odpowiedziała Lilia i wszyscy zebrali się przy rodzinnym stole.

- Cóż tak cicho? Wszyscy nie w humorze? – zaczął William.

- Wiele już dzisiaj było emocji, raczej z ciekawych opowieści temat został wyczerpany. – odpowiedziała Mary.

- Mnie ciekawi skąd tata wyczuł, że powinien się pojawić wtedy w lesie. Gdyby nie on, byłoby po nas. – spytała Lilia.

- Cóż, nie was bardzo długo, poza tym miałem nieprzyjemny sen.

- Sen?

- Tak, w zasadzie śniło mi się dokładnie to co się dziś wydarzyło, tylko z pół przyszedł zamaskowany mężczyzna i powstrzymał Marshalla przed skokiem, coś, może i jemu nic się nie stało ale ty... - Jack przerwał słysząc krzyki na zewnątrz – Słyszycie?

- Tak... coś się dzieje – odpowiedziała Mary.

- Idę to sprawdzić – Jack założył pas z kaburami na swój ciemnoszary płaszcz, szybko ubrał kapelusz i wyszedł z domu, Lilia pobiegła za nim.

- Lilia poczekaj! – próbowała ją zatrzymać matka.

- Muszę zobaczyć o co chodzi! – odkrzyknęła Lilia zamykając drzwi za sobą.

William i Mary spojrzeli na siebie wzrokiem który wyraźnie mówił, że to było do przewidzenia i nie warto zatrzymywać ich młodej, czarnowłosej poszukiwaczki przygód.

Jack stał już pośrodku osady i widział jak część ze strażników szykuje zbudowaną niegdyś armatę. Przy granicy domostw zobaczył niewielki pojazd. Wyglądał jak ten z opowieści Williama, ale był o wiele mniejszy. Wyszło z niego dwóch uzbrojonych obcych w pancerzach. Strażnicy nie czekali długo by wystrzelić. Kula była ogromna, trafiła obu nieproszonych gości naraz. Opadli na ziemię i ku zaskoczeniu wszystkich wokół... wstali, z niewielkimi dziurami i pęknięciami w wizjerach. Nikt nie mógł uwierzyć, że przeżyli spotkanie z takim pociskiem. Jednak zaledwie kilka sekund po ich powstaniu, zaczęli się trząść, krzyczeć i opadli na ziemię, a z dziur w wizjerach zaczął wypływać płyn przypominający krew. Jack i strażnicy ostrożnie podeszli do ciał, próbowali je podnieść lecz one... niemal całkiem się rozpuściły. Po podniesieniu wyczuwalna była waga ale

kombinezon sprawiał wrażenie wypełnionego płynem, a nie ciałem, z dziury zaczęło wypływać więcej krwi.

Ciała i kombinezony były kilka dni badane. Odpowiedź była prosta – powietrze. Obcy nosili kombinezony, ponieważ powietrze które dla nas jest zdatne do oddychania, dla geradian był niczym żrący kwas. Ludzkość poznała słabość napastników. Mijały miesiące, a rusznikarze wraz z naukowcami opracowali wypełnione sprężonym powietrzem naboje. Teraz trzeba było je wykorzystać. Minęło 10 miesięcy od przylotu obcych, Jack zebrał drużynę i odkrył jak sterować statkiem by polecieć na Geradię i sprawdzić co jeszcze mogą kryć jej mieszkańcy.

Drużyna nie była duża, tak jak i statek, zgłosiła się trójka dobrze wyszkolonych w boju mieszkańców osady, dzielnych i celnych - John, Margaret i Henry. Wszyscy przygotowali się do wyprawy zbierając nowo zbudowane aparaty by móc oddychać w nieznanym miejscu i ruszyli w nieznaną przestrzeń.

Po godzinie lotu powierzchnia planety była już blisko, nikt nie wiedział gdzie lądować ani czego szukać. Statek był na tyle niewielki, że nie był dobrze widoczny przelatując nad drzewami, co pozwalało im na tą niewiedzę bez konsekwencji.

- Tam! - powiedziała nagle Margaret. – Jakiś budynek! Na skraju lasu, przed nami.
- No to co nam pozostaje jak nie sprawdzić czym jest. – odpowiedział Henry
- Wylądujemy tam na polanie w lesie, dalej pójdziemy pieszo. – powiedział Jack
- Mam co do tego złe przeczucia... - z niepokojem cicho powiedział najmłodszy z drużyny, John.
- Co? Boisz się? Podobno taki jesteś dzielny! – zaśmiała się Margaret.
- Odczep się rudzielcu! – odpowiedział zirytowany John.
- W czym problem z moimi włosami? Ich też się boisz? – Ciągnęła Margaret.
- Zaraz ty się zaczniesz bać!
- Oboje przestańcie! Musimy się wszyscy skupić!- krzyknął Jack.
- Eh coś tak czułem, że zabranie rodzeństwa tak się skończy... - Powiedział Henry.
- Odczep się stary wąsaczu! – krzyknęli jednocześnie brat i siostra po czym oboje zaczęli się z siebie śmiać.
- Dobra lądujemy, teraz naprawdę macie się skupić. – zakończył Jack i wszyscy wyszli na powierzchnię.

Była ciemna noc, jedyne światła prócz gwiazd i księżyca, z którego załoga przyleciała to te z bazy przed nimi i widocznych w oddali wież, przy których ten budynek wyglądał niepozornie, możliwe, że tak miało być. Budynek był płaski, niewielki i przy drzwiach widać było dwóch obcych, bez hełmów. Były to gadopodobne humanoidy. Miały duże głowy z niemal niewidoczną szyją, tak jakby wprost z wysokości ramion wystawała ich czaszka, o ostrych konturach jak u jaszczurki i dużymi czarnymi oczami po bokach zwężającej się ku nosowi głowy.

- No ładne to one nie są. – parsknął John.
- Pewnie oni powiedzieli by to samo o tobie. – odpowiedział Henry.

- Nie trzeba być kosmitą żeby to o nim powiedzieć! – zaśmiała się Margaret.
- Zamknąć się! Dość. – warknął Jack.
- No dobra już... to co robimy?
- Chyba warto wykorzystać nowy wynalazek - powiedział Henry wyciągając karabin.
- Ok, ja biorę tego z lewej a ty z prawej. – powiedział Jack celując.
- Tak jest kapitanie Andersen.

-Na trzy. Raz... dwa... trzy! – Skończył Jack i oboje wystrzelili w strażników. Bez pancerzy jeden strzał wystarczy by zneutralizować zagrożenie. Rozpuszczanie dziur w ich ciałach nie było najprzyjemniejszym widokiem.

- Chwila, skoro nie mają zbroi to zwykłe pociski nie dadzą im rady? To chyba one dają im ochronę prawda? – zaznaczył John

- Te gadziny wytrzymały kulę z armaty, pancerz może ich uchroni ale żeby wytrzymać taki odrzut głowy trzeba mieć naturalny pancerz! Ja bym nie ryzykował sprawdzając ile wytrzyma, wolę być pewien, że nie zginę próbując! – odpowiedział Henry.

- Racja.

- No to na co czekamy? Mamy sposób to wchodzimy. Drzwi wyglądają... - Margaret przerwała – Otworzyły się! Szybko! To nasza szansa – Margaret wybiegła z bronią w gotowości.

- Czekaj! Ach, cholera, no to za nią! – Powiedział Jack i ruszyli do bramy.

Margaret zastrzeliła wychodzących geradian i wszyscy weszli do bazy. Przed nimi było ogromne białe pomieszczenie z wieloma stołami jak w statku i dziwnymi urządzeniami. Tak samo wiele było tam obcych, którzy byli równie zaskoczeni widokiem intruzów. Część z nich było uzbrojonych i po chwili zatrzymania wszelkich czynności przez obie grupy ciszę przerwała strzelanina. Nieuzbrojeni geradianie próbowali podbiec i zaatakować w zwarciu swymi pazurami, jednak bezskutecznie. Nikt nie zdołał zbliżyć się do intruzów z księżycą.

- Jeden strzał, jeden trup! Haha! – krzyknęła Margaret co chwila celnie eliminując wrogów szybko wychylając się zza osłony stołów.

- Z takim sprzętem to żaden wyczyn, te wielkoludy to łatwe cele! – odpowiedział John.

- Oj daj się nacieszyć tym uczuciem mocy! To jak strzelanie do puszek!

Drużyna powoli przesuwiała się naprzód broniąc się przed ostrzałem strażników, gdy jedna osoba przeskakiwała z jednej osłony za drugą, reszta ją osłaniała. Stoły były ułożone w rzędach, tym sposobem powoli doszli do kolejnych drzwi. Przemieszczając się korytarzami doszli do pomieszczenia odmiennego od tego w którym walczyli. Było niewielkie, miało ciemne ściany niczym ze skały. Drzwi były zamknięte, wewnątrz było widać przez niewielką szybę, w środku stało dwóch uzbrojonych po zęby strażników. W pomieszczeniu można było ujrzeć dziwną świecąca bramę przy której inni kosmici coś majstrowali. Wyglądało to jak portal, ze świecącym panelem na obramowaniu, który dotykał jeden z obcych, ku zaskoczeniu wszystkich przez portal do pomieszczenia wszedł obcy... dokładnie taki sam jak ten przy panelu. Przez chwilę drużyna obserwowała co się dzieje, aż portal zamknął się, a urządzenie które go generowało zostało złożone do wielkości sporej walizki.

- Co to jakaś maszyna kopiująca? – spytał Henry

- Nie wiem co to ale chcę to stąd zabrać – powiedział zaciekawiony John.
- Cóż myślę, że jeśli coś mamy z tej ekspedycji zabrać, to coś cennego, a to wygląda na bardzo cenne. – dodała Margaret.
- Jak mamy zamiar to zrobić? Ci tutaj mają już pancerze. – zaznaczył John.
- Mam ładunki wybuchowe – powiedział Henry.
- Dynamit?
- Nie, te ich wybuchowe kryształły. Skombinowałem z nich bomby, nie wiem jakie są silne, ale powinny zadziałać. Nawet jeśli ich nie zabiją to z pewnością ogłuszą, a jak choćby kawałek ich pancerza pęknie, to nic nie powstrzyma nas by dokończyć robotę.
- Brzmi jak plan, oby tylko zadziałał, zapukamy, schowamy się za rogiem korytarza, a ty rzucisz ładunki. Tylko oby nas też nie zabiły.
- Będzie dobrze kapitanie, zaufaj mi.

Margaret i John spojrzeli na siebie niepewnie, znali zamiłowanie Henry'ego do eksplozji lecz ich skuteczność bywała... różna.

- Schowajmy się trochę dalej, wybiegniemy zaraz po eksplozji – powiedziała Margaret chowając się.

Jack uderzył kilka razy kolbą karabinu o drzwi po czym uciekł za osłonę. Drzwi otworzyły się zza nich wyglądnęły dwie lufy, a zaraz za nimi opancerzone, gadzie pyski strażników. Ich wzrok szybko spuścił się pod ich stopy przy których leżał rozpalony pakunek z narysowanym uśmiechem. Niezależnie od tego, czy obcy rozumieli taką formę komunikacji i znali mimikę ludzkiej twarzy, nie była to kwestia nad którą mieliby się okazję długo zastanawiać. Gdy wybuch powalił ich na ziemię zostawiając dziury w wizjerach, które zostały niemal całkowicie stopione energią kryształów, drużyna przebiegła między nimi po drodze oddając po jednym strzale w głowę obu strażników zostawiając ich martwych. Ten sam los spotkał stojących przy zamkniętym portalu sobowtórów.

- To co bierzemy to cudo i spadamy stąd? – spytał John biorąc w rękę obcą maszynę – Szlag, to jest cięższe niż myślałem.
- Chyba zrobiliśmy im wystarczająco zamieszania jak na jedną noc, chodź pomogę Ci z tym, lecimy! – odpowiedział Jack i drużyna wyruszyła z powrotem na statek. Słońce zaczęło wschodzić, gdy opuszczali planetę z nieznaną zdobyczą.

Po wylądowaniu załoga została powitana przez mieszkańców, równie ciekawych zdobytego urządzenia. Po naciśnięciu świecącego przycisku brama została rozłożona. Wyglądało to, jakby sama się zbudowała, w kilka sekund. Nie był to codzienny widok dla ludzi. Panel na boku bramy był taki sam jak na statkach i tak samo po kontakcie z ludzką dłonią, zmienił swój język na dla nich zrozumiały. Widać automatyczne tłumacze były powszechne na Geradii i używano ich we wszelkich urządzeniach wymagających wiedzy o ich sterowaniu. Po obserwowaniu wyświetlanych napisów i przycisków mówiących o wyborze miejsca jak i czasu, stało się jasne do czego służyła ta maszyna, choć nikt nie mógł do końca w to uwierzyć.

- Ten portal pozwala odwiedzić dowolne miejsce w dowolnym czasie. – oznajmił Jack.
- Ci kosmici mają wehikuł czasu? – spytała zaskoczona Lilia

- Tak wynika z informacji na pulpicie bramy. To by też wyjaśniało dwójkę takich samych naukowców w bazie, jeden z nich pochodził z innego okresu czasowego – kontynuował mówiąc do wszystkich w pobliżu mieszkańców oraz załogi.

- Może uda się cofnąć i uratować Marshalla? Boję się o niego.

- Coś złego się z nim dzieje?

- Zapadł w śpiączkę – powiedział będący obok doktor, który opiekował się wtedy Marshalllem.

- Niestety wątpię, by było to możliwe. Jestem jednak pewien, że Marshall wyjdzie z tego cało. Wiele już mieliśmy takich przypadków, wszystkim się udało, twój przyjaciel nie będzie wyjątkiem.

Lilia niepewnie kiwnęła głową.

- Skoro tamten naukowiec został podwojony to wnoszę, że nie pozwoli nam to zmieniać biegu historii, a raczej odwiedzać inne linie czasowe, jeśli tak to można określić – powiedział John.

- Myślę, że może to nam bardzo pomóc w obecnej sytuacji. Susza zabija rośliny i sprawia, że w lasach jest coraz mniej zwierząt. Nikt nie wie ile ona potrwa i czy uda nam się po niej odnowić uprawy. Można wykorzystać portal by zyskać surowce potrzebne aby przetrwać oraz zacząć uprawy w zamkniętych pomieszczeniach.

- A co jak coś pójdzie nie tak, będziecie w stanie wrócić?- spytała zaniepokojona Lilia

Jack spojrzał się spokojnie w jej ciemne oczy.

– Wszystko będzie dobrze, wiemy, że da się wrócić więc nam też się uda, nie martw się.

- Może pójde z wami?

- To, że wrócimy jest pewne, ale to nie sprawia, że nic nie może pójść nie tak. Im mniej osób, tym mniej będziemy się rzucać w oczy, a o to nam chodzi. Poza tym, mama zbiera teraz resztki jadalnych owoców przy polach sama będąc chora i myślę, że ona bardziej potrzebuje twojej pomocy, zaopiekuj się nią dobrze, obiecujesz?

- Obiecuję – powiedziała powoli acz pewnie Lilia.

Jack zebrał więc tą samą załogę, wybrał odpowiedni czas oraz ustawił lokalizację na pola uprawne by nie pojawiać się w osadzie i szybko zebrać hodowane tam rośliny. Po chwili cała drużyna zniknęła w świetle portalu.

Bezproblemowo cały zespół pojawił się na polach pełnych roślin gotowych do zbiorów. Nikogo nie było w pobliżu, wzięli więc worki i zaczęli zbierać.

Trwało do już dobrą godzinę, worki były niemal pełne. Jack usłyszał jednak coś niepokojącego. Znał ten głos, to był ryk Demoradiona. Oddalił się od grupy w stronę Mrocznego Lasu by to sprawdzić. Wiedział, że Demoradiony nie spacerują ot tak wydając dźwięki, pojawiają się wtedy gdy jest przy nich coś interesującego, inny Demoradion lub coś, czego chcą się pozbyć z ich terenu.

Doszedł do miejsca ryku i otworzył szeroko oczy w zaskoczeniu. Była to Lilia i Marshall. Demoradion zaczął biec w ich stronę. Jack instynktownie wystrzelił linę by Marshall uniknął swego losu z ich linii czasowej. Tak łamiąc chęć braku ingerencji w inny świat, nie przemyślał skutków swego czynu. Marshall padł na ziemię unikając ataku, jednak

Lilia nie miała tyle szczęścia. Jack przerażony odwrócił wzrok, słysząc jedynie krzyki córki, a raczej córki jego odpowiednika w tym świecie, który właśnie tam dobiegł. Widząc całą sytuację, widząc jak Demoradion pozbawia życia jego dziecko i człowieka w masce którą dobrze znał, ponieważ sam ją zbudował lata temu. Jack z drugiej linii strzelił w tego pierwszego, który uciekł w stronę pól. Pierwszy skrzyknął drużynę i nakazał uciekać przez portal ze zbiorami. Wszyscy wykonali polecenie i tak uciekli z drugiej linii czasowej na swoją. Po powrocie Jack nie odzywał się ani słowem, załoga pytała co się stało, jednak ten nie chciał odpowiedzieć. Był zbyt przerażony tamtym widokiem i faktem, że on sam był temu winny.

Minęło kilka dni od podróży. Osada mogła znów cieszyć się jedzeniem. Jack siedział w domu czyszcząc broń, Mary na polach zbierała ostatki zniszczonych gorącym roślin by zrobić nawóz, a Lilia z Williamem pomagali przygotować jeden z budynków pod uprawę.

Ktoś zaczął pukać do drzwi domu. Jack powoli odłożył karabin i podszedł do drzwi z lekką niepewnością, nie spodziewał się gości, a wiedział, że nikt z rodziny nie musiałby pukać. Otworzył drzwi i nie mógł uwierzyć własnym oczom. Zobaczył mężczyznę jego wzrostu, w tym samym szarym płaszczu, z tym samym pasem, w tym samym kapeluszu. Miał na sobie maskę, zbudowaną z metalu obcych, otaczającą głowę jak hełm, z płaską, otwieraną płytą o kształcie przypominającym stalówkę pióra z niewielkimi kanciastymi otworami by przez nie widzieć. Maskę którą doskonale znał, to w niej był na wyprawie, to ją zbudował lata temu i to ją miał na sobie mężczyzna w jego śnie. To był on.

Przez chwilę oboje stali w bezruchu, żaden nie wydał dźwięku. Jack kątem oka zauważył jak ten drugi sięga po rewolwer. Ojciec Lili był najlepszym rewolwerowcem w osadzie. Jego ruchy zawsze były błyskawiczne i precyzyjne. Tylko jeden człowiek mógł z nim konkurować - on sam. Jack upadł martwy na ziemię z rozgrzaną mocą kryształu dziurą w szyi, która przeszła się przez ciało wprost do czaszki. Nie widział jaki wyraz twarzy miał pod maską jego sobowtór, lecz wiedział, że nie była to twarz którą kiedykolwiek widział w lustrze.

Przez otwarte drzwi wbiegła Lilia. Stała w drzwiach z zaskoczeniem i przerażeniem w oczach.

- Tato! – krzyknęła gdy łzy zaczęły napływać jej do oczu.

- Lilia... - powiedział drżącym głosem Jack. Lilia poznała kim jest, lecz wiedziała też dobrze, że nie ten człowiek ją wychował.

- To nie ty... co ty zobiteś? Dlaczego!? – kontynuowała Lilia.

- To przecież ja, nie rozumiesz, ty... Demoradion... Jack Cię zabił.. – Nie wiedział co powiedzieć, był zdruzgotany tym co się wydarzyło. Widział ducha swego dziecka, którego nie był w stanie uratować, widział oczy córki, która zobaczyła do czego jest zdolny. On sam zobaczył, widząc swoje martwe ciało obok niego. Doszło do niego czym była ta zemsta, wtedy nie tylko jeden Jack zginął i dobrze o tym wiedział, wiedział, że ten czyn zmienił jak postrzega sam siebie oraz jak inni będą to robić. Nie wiedział co począć, chciał cofnąć czas, ale był świadom, że tego nie zrobi. Zdjął maskę, odkrywając łzy w jego oczach. Lilia podbiegła od niego i przytuliła się. Jack spojrzał jej w oczy gdy się zbliżała, wiedział, że ona postąpiła by tak jak jej ojciec, byli bardzo podobni. W jej wzroku doskonale ujrzał jej zamiary, ale nie zamierzał jej powstrzymywać. Nie zamierzał walczyć, bo nie wiedział, czy ma jeszcze o co. Tu jego zemsta zakończy się spokojem w ramionach swej córki, którą stracił.

Przez moment oboje klęczeli w uścisku, nie minęła chwila, Jack poczuł zimno stali w swych plecach. Ostrze było niemal doskonałe, twarde i ostre jak brzytwa. Był to w końcu jego prezent dla Lili, gdy zaczynała przygodę z polowaniem.

- Przepraszam, że Cię zawiodłem. – wykszusił ostatnim tchem Jack.

Lilia puściła go wyciągając z niego nóż. Łzy wciąż wędrowały po jej pełnej strachu, smutku oraz gniewu twarzy. Powoli wyszła z domu, z zakrwawionym nożem przy pasie szła w stronę pól by powiedzieć matce co się stało. Nie wiedziała jak to zrobić, ale wiedziała, że nie było innego wyjścia, ani wcześniej ani teraz. Niewzruszona wzrokiem przechodniów powoli stąpała poprzez osadę aż do jej granic. Zatrzymała się. Jej oczy rozwarły się znów szeroko. Nie zobaczyła swojej matki zbierającej rośliny. Zobaczyła dwóch obcych ludzi, niosących wór w kształcie ciała przechodzących przez portal który po chwili zniknął. Mary była świadkiem ich przybycia, Jack nie mógł tego zrobić, ale jego współpracownicy chcieli zrobić wszystko, by nie zostać zauważonymi.

Lilia nie знаła wielu ludzi, miała rodziców, dziadka i Marshalla. Nie mogła jednak żadnemu z nich o niczym powiedzieć. Dziadek ciężko chory walczy o życie u lekarza a Marshall wciąż głęboko śpi, nikt tak naprawdę nie jest już pewien jego pobudki. Widziała wzrok lekarza, który jej to mówił, straciła nadzieję. Po utracie rodziców nie miała wiele nadziei na cokolwiek, co mogłoby pozwolić jej uwolnić się od tego wszystkiego.

Przez wiele dni nie wychodziła z domu, poprosiła pomocników szeryfa o wyniesienie ciała, płacąc im za milczenie. Bardzo trudno było im nie zadawać pytań wywołując dwa identyczne ciała z jej domu, szczególnie, że znali Jacka, ale wykonali prośbę nie oddając słowa. Chociaż nie wiadomo czy to przez daną im zapłatę czy przez szok, w którym wtedy byli. Lilia siedziała w jadalni ich drewnianego domku, patrząc się na położony przed nią nóż, którym dokonała swego czynu. Był to piękny, czarny sztylet z wtopionymi odłamkami obcych, złocisto-żółtych kryształów, których światło zostało w większości zasłonięte krwią.

Mieszkańcy znali Jacka, wszyscy byli zaskoczeni jego nagłym brakiem obecności, ale wszyscy byli zbyt zaniepokojeni stanem Lili, jedynej osoby która mogła coś o tym wiedzieć, by się o cokolwiek spytać. Mijały dni, miesiące, Lilia co jakiś czas wychodziła jedynie by odwiedzać Marshalla i dziadka, mijając patrzących się na nią ze zmartwieniem ludzi. Nie podnosiła wzroku ani na chwilę. Myślała, że już nic jej nie przerazi, lecz jej zdanie zmienił pogarszający się stan dziadka. Nie była w stanie nawet uronić łzy. Jej umysł był bałaganem pełnym niepewności i bólu. Powoli traciła nadzieję, szykowała się na najgorsze.

Niedługo później odwiedziła Marshalla. Ten wciąż spał, a lekarze nie podawali jasnych odpowiedzi. Podeszła do niego bliżej. Lekarze wyszli. Patrzyła na śpiącego przyjaciela wzrokiem pełnym tęsknoty. W głębi duszy czuła, że to uczucie nie minie już nigdy. Była sama, zupełnie sama.

Ten stan nie uległ poprawie po kolejnych minionych tygodniach. Każdy dzień wyglądał tak samo. Nie mogła przez suszę nawet pójść na polowanie by odgonić przez chwilę myśli, z resztą sama nie wiedziała czy bez Marshalla byłoby to możliwe. Niewiele jadła, niewiele się ruszała, codziennie spoglądając na nóż zaraz po wyciągnięciu go z pasa w którym zawsze go nosiła, oraz plamy krwi, które wciąż były obecne na podłodze przy wejściu do domu. Wiedziała, że pozbycie się ich nie usunęło by pozostałych wspomnień, nie miała energii na zrobienie czegokolwiek prócz coraz rzadszego odwiedzania chorych bliskich.

Czas mijał coraz szybciej. Od śmierci Jacka i Mary minął już niemal rok. Od śmierci Williama jedynie miesiąc. Jego pogrzeb nie był zwyczajny. Dla wszystkich była to wielka ceremonia, pojawili się wszyscy mieszkańcy. Dziadek Lili był ostatnią osobą, która pamiętała Ziemię. Jego odejście rozpoczęło nową erę na księżycu Geradii, teraz wszyscy tam obecni nie mogli się więcej dowiedzieć o poprzednim świecie, niemal odcinając się od niego, a te historie które pozostały w pamięci będą przekazywane dalej, aż zapewne znikną na zawsze, nie pozostawiając naszej planety w niczyjej pamięci. Teraz to jest ich świat i dla przyszłych

pokoleń nie będzie istniał żaden inny. Będą ludźmi z księżycy Geradii, nowymi ludźmi, obcymi dla tych od których powstałi.

Lilia weszła do sali w której przebywał Marshall.

- Proszę poczekać, jego stan... - powiedział lekarz przy wejściu.

- Dajcie mi przejść. – odpowiedziała krótko stanowczym tonem Lilia.

Podeszła do łóżka, siadła obok... i jej serce zabiło szybciej. Znów jednak nie była w stanie uronić żadnej łzy. Nie potrafiła tego udźwignąć, nie dawała rady, mimo tego, że znała prawdę, nie była w stanie okazać tych emocji.

- Nie oddycha. – powiedziała zmęczonym i zimnym głosem patrząc się w pustą przestrzeń sali, mając dłoń na klatce piersiowej Marshalla.

- My.. robiliśmy co mogliśmy.. – zaczął lekarz.

Lilia nie dała mu jednak skończyć i wyszła z pokoju. Jej wzrok nie spotkał się ze wzrokiem lekarza, jednak ten był w stanie ujrzeć jej oczy i poczuć strach przed nią, gdy wychodziła. Ulżyło mu, gdy nie skończył z nożem w sercu.

Lilia szybkim krokiem wyszła z osady w stronę lasu. Nie było już nikogo, kto mógłby ją powstrzymać, niczego, co mogłoby ją uchronić, nic co uspokoi jej burzę. Weszła do lasu, który stracił przez suszę większość życia. Błękitna trawa stała się szara, rośliny przestały kwitnąć, a zwierzęta uciekły lub zdechły z głodu. Po drodze mijala wiele odłamków kryształów pokrywających wultesy, zapewne walczyły o jedzenie nim pozostawiły swój dawny dom. Ptaki nie śpiewały już nawet tutaj, jedyne co nie zmieniło swego żywego wyglądu to drzewa, których korony są rzadsze jednak niebieska kora pozostaje równie piękna niezależnie od pogody. To bardzo silne drzewa.

Lilia doszła do granicy Mrocznego Lasu. Nie wahała się ani chwili i weszła głębiej, w to samo miejsce, w którym zaatakował ją Demoradion. W tym miejscu Marshall ją uratował sam oddając swe życie. W tym miejscu ona sama zginęła w innym świecie. W tym miejscu zaczęły się jej problemy i w tym zamierzała je skończyć.

- Nie boję się ciebie! – wykrzyknęła tak głośno jak mogła, patrząc w głąb Mrocznego Lasu, stojąc niewzruszenie. - Niech dopełni się mój los! Wiem, że tak wygląda! To tu przeze mnie wszystko się zaczęło i niech się także skończy!

Z ciemnej otchłani lasu zaczęła się pojawiać istota którą dobrze pamiętała. Demoradion powoli i ostrożnie zaczął do niej pochodzić. Lilia stała w bezruchu z kamienną twarzą czekając aż bestia ją pochłonie. Potwór poszedł blisko, jego pysk niemal stykał się z jej twarzą, Lilia zamknęła oczy.

- Przepraszam – usłyszała Lilia. Znała ten głos, zdeformowany, jednak go poznała. Był to głos jej ojca. Lilia zaczęła gwałtownie się obracać, nie widząc nikogo w pobliżu i wtedy zrozumiała. Demoradion wciąż patrzył się na nią nie ruszając się. Lilia nie mogła uwierzyć w to co się właśnie stało, Demoradion powoli się wycofał wciąż ze spuszczoną głową patrząc się na Lilię.

Wiedziała, że jej prośba nie zostanie spełniona. Wyciągnęła sztylet zza pasa, spojrzała na niego ostatni raz, gdy zaczęły na niego spadać jej łzy. Popatrzyła się prosto w oczy świetlistej istoty i wbiła sobie nóż w serce. Demoradion wydał ryk tak głośny, że liście zaczęły spadać z drzew. Nie był to ryk gniewny, lecz pełen cierpienia. Lilia upadła na ziemię, ostatkiem sił wyrывая nóż z rany i pozwoliła krwi przykryć jej martwe ciało.

Śmierć. Mrok. Las. Światło.

Lilia szeroko otworzyła oczy. Nie wiedziała co się z nią dzieje, dobrze pamiętając co przed chwilą zrobiła. Była w lesie, wyglądał tak samo jak ten w których odebrała sobie życie jednak był jaśniejszy, wciąż ciemny jednak widziała wyraźnie każdy jego zakątek a niebo było jasne, o świetlistym, złotym kolorze. Spojrzała się w dół i poczuła, jakby jej serce przestało bić. Przestała w ogóle czuć jego bicie, jakby go nie miała, to nie było tylko zwykłe uczucie, nic tego nie przerywało. Zobaczyła swoje martwe ciało leżące na ziemi, a obok niego nóż. Nie mogła płakać, nie był to brak chęci, fizycznie nie mogła, nie mogła zrozumieć dlaczego. Spoglądając w dół spotkała widok, który jeszcze bardziej ją zaskoczył. Nie stała już na dwóch nogach. Jej kończyny nie należały do człowieka, jej ciało świeciło biało-fioletowym blaskiem. Czowała niespotykaną energię, nie wiedziała co ona oznacza, ale widziała czym się stała. Demoradion wciąż stał obok niej, była dokładnie tak wysoka jak on.

- Wiem kim jesteś. – powiedziała Lilia.

- To klątwa, która jednoczy nas wszystkich. – odpowiedział Jack

Wokół dwójki zaczęły się pojawiać kolejne Demoradiony, dziesiątki, setki, tysiące. Ich blask rozświetlił cały las, który już przestał być jedynie mrocznym cieniem. Był pełen istot, które niegdyś postrzegały go w taki sposób. Jeden z Demoradionów podszedł do dwójki.

- Nasza historia nie dobiegła jeszcze końca – powiedział spokojnie głos Mary.